№ 3. Warszawa, dnia (3) 15 Stycznia 1898 roku. Rok XL.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Wiersz petitu 1 szpalt. lub jego miejsce kop. 12. Nadesłane wiersz 1 szpaltowy garmontu kop. 50

Od Redakcyi.

Nowi abonenci, życzący sobie poznać początek powieści „Jan Marya Plojhar," otrzymać mogą takowy za nadesłaniem 25 kop. w czem mieszczą się i koszta przesyłki.

Ilość kompletów tej powieści przy znacznem zapotrzebowaniu, mamy już niewielką do rozporządzenia.

GOPLANA.

Opera Żeleńskiego.

Lećcie u zorzy
Prosić purpury
Pereł u róży
Szafiru u chmury
U nieba błękitu
A złota u świtu.
A jeśli gdzie zawieszona
Na niebie tęczowa nić
To tęczę wziąść na wrzeciona
I wić, i wić, i wić!..

Z takim rozkazem posłać niegdyś musiała dobroczynna wieszczka natchnień gnomy swoje, aby do nieprzespanego snu ukołysały stęsknioną duszę pieśniarza-tułacza — aby mu dały przez chwilę widzenie światłości zagasłych, a na mroki i cienie jego dnia rzuciły jasną zasłonę widzeń tęczowych.

A on zbudził się wpółsenny, cały zapatrzony jeszcze w uroczą marę, i słyszał dalej, jak po nad nim szumiały gwary odwiecznych borów Sarmacyi, czuł jak mu twarz owiewało tchnienie skrzydeł Kirkorowego rycerstwa, widział, niby na jawie, owe perły kwiatów woni nieporównanej, a zwierciadlana fala rodzinnego Gopła łamała w sobie szafiry niebios, purpury świtów i złote blaski zórz wieczornych

I przebudzony już, jął snuć to wszystko w cudowną tkaninę, iście oderwaną z tęczy widzeń, i usnuł baśń niebywałego czaru na karm ożywczą dla dusz spragnionych blasków nieziemskich, a sobie na jeden z listków wielkiego wieńca, który żywemu był na nic, ale który zmarłemu czoła nigdy zdobić nie przestanie.

Taką też wystawiać nam sobie wolno w krainie piękna genezę Balladyny, owej posępnej córki wdowiej, która staje dziś przed nami w nowej szacie, przetłumaczona, jak głoszą, na język tonów, a więc jakby się spodziewać należało — pełniejsza jeszcze, bo zbogacona tym urokiem, którego potęgi słowo pomieścić nie może. Zmieniła imię, i nie wiedzieć dlaczego ukazuje nam się pod mianem prześladowczyni swojej — swojego złego ducha — swojej rywalki.

Zobaczmy co zyskała na tej metamorfozie.

Każdy człowiek obdarzony średnią chociażby dozą poczucia estetycznego, po pierwszem przeczytaniu Balladyny pomyśleć sobie musiał, że jest to jeden z utworów Słowackiego, który prosi się niejako o muzykę i pędzel.

Tam gdzie wielki poeta przemawia do duszy czytelnika i liryzmem niedościgłego uroku, i napięciem tragicznem, i satyrą gryzącą, tam artysta staje przed gotową krynicą natchnienia, z której czerpać mu wolno, byle śmiał i zdołał.

Śmieć, to znaczy poczuć w sobie mistyczną emanacyę, płynącą z arcydzieła poety — zdołać, to znaczy dorównać, stanąć obok — dopełnić kształtem albo dośpiewać akordem tam, gdzie słowo w mgły niedostrzegalne roztapiać się zdaje. Innego kojarzenia malarstwa i muzyki z poezyą nie rozumieliśmy i nie rozumiemy — innej illustracyi dla czarodziejskiego poematu Słowackiego nie oczekiwaliśmy nigdy.

Ma jednakże swoje arcana nieujęte w żadne formułki twórczość artystyczna, których jednem draśnięciem mniej udolnem naruszyć nie wolno — ma swoje wymagania sztuka, do których dostroić się musi koniecznie ten, kto się arcydzieła dotyka, i o tem zapominać nikomu nie wolno.

Przez wzgląd na różnorodność barw, na bogactwo charakterów i rozmaitość sytuacyj, nie przypuszczaliśmy nigdy, aby Balladyna jako całość artystyczna w ramach opery uwięzić się pozwoliła, bo do tego nie nadaje się ona z wielu bardzo względów. Są subtelności myśli, o oddanie których muzyk zawsze deremnie kusić się będzie, są całości zbyt skończone same w sobie, aby wolno było do nich coś dodać, albo ująć im cokolwiek. Jeśli muzykowi zamarzy się pierwsze, przedsięweźmie zadanie nad siły — jeśli librecista gwoli potrzebie pomyśli o drugiem, dopuścić się tylko może profanacyi arcydzieła cudzego, bez żadnej dla własnego utworu korzyści.

To nie jest zresztą twórczość, i to nie jest artyzm żaden takie przykrawanie i zszywanie — to się nazywa robota, i do tego robota wcale niegodna uznania.

Zresztą uczmy się z tych prób, które się udały.

Podobało się naprzykład Gounodowi być illustratorem arcydzieła Göthego, więc wziął epizod jeden z wielkiego wszechświatowego dramatu — jeden jedyny epizod, pozostawiając na stronie cały ogrom myśli, sytuacyj, powikłań i rozwiązań, w ten epizod włożył on cały potężny zasób natchnienia własnego, i stało się, że dośpiewał za wielkiego poetę, i pomieścił swoje imię obok jego imienia.

Gdyby był wyszedł z jakiegokolwiek innego założenia, nie byłby z pewnością dokazał tego, czego dokazał. Nie trzeba nigdy kusić się o to, co niepodobne.

Z Balladyny mógł poeta wysnuć sobie wątek na libretto do opery — notabene poeta, ale Balladyna w żaden sposób librettem do opery sama być nie mogła, no i nie jest też niem z pewnością największą.

Jeśli mamy mówić o tem, do jakiej formy nadawało się to arcydzieło Słowackiego — czem ono mogło zostać przy dotknięciu się doń geniuszu artysty-muzyka, to powiedzmy odrazu, że Balladyna mogła być tylko melodramatem — melodramatem, ale niczem innem.

Ponieważ zaś osnutą została na jej tekscie opera, więc dzięki tej manipulacyi, nietylko cudzoziemcowi niepojmującemu języka naszego, ale i temu, który go zna wybornie, jeśli tylko nie zna Balladyny Słowackiego, z trudnością uwierzyćby przyszło przez kilka długich aktów, że słucha podłożonego pod muzykę arcydzieła — naturalnie arcydzieła przeinaczonego do niepoznania zatratą charakterystyki, odjęciem całego niezwykłego uroku poetycznego, cechującego oryginał fantastycznego dramatu.

Przyjrzyjmy się niektórym szczegółom.

Poprzedzona przez nieodstępnych Chochlika i Skierkę i przez rój niedosyć szczęśliwie ucharakteryzowanych gnomów i sylfów ukazuje nam się odrazu Goplana. Taka Świtezianka czy taka Goplana każda, nie jest do tego przeznaczona, aby ją w jaskrawem oświetleniu oglądać, bo ona wogóle jako postać fantazyjna, musi się w mgłach swoich ukrywać, z odmętów wodnych wynurzać, rozwiewać i niknąć, a w żadnym razie jedwabiem szat szeleścić na pierwszym planie na oczach widzów, i śpiewać aryę uczoną, bardzo uczoną a zatem bardzo dla siebie nieodpowiednią. Dla Goplan i Świtezianek wszelkich dużo półświateł, umiejętna mimika raczej niż słowa — słowa raczej niż muzyka, a jeśli ta ostatnia, to w żadnym razie nie arya operowego typu, bo przez nią odrazu traci widz pojęcie o tem, co ma przed sobą: rzeczywistość czy urojenie. Te dwa światy jednako się na scenie przedstawiać nie mogą, i chyba tylko w parodystycznych operetkach, taką im się niefortunną naznacza rolę. To też jeśli nam już aż do ostatecznych granic w szczegółach wykazania błędów inscenizacyi posunąć się potrzeba, to powiemy, że obstawalibyśmy za gazą i tiulem, jako tkaniną — za rozpuszczonym włosem, a nie arcydziełem jakimś perukarskiego kunsztu—za rodzajem koturnu a nie pantofelkami atłasowymi. Inna Goplana, nie ta jaką przedstawiliśmy w tym zarysie, nie jest z pewnością Goplaną wyobraźni Słowackiego, ale natomiast jest żywym dowodem, że można bardzo dowcipnie dworować sobie i z zadania swojego, i z artystycznych przeczuć publiczności.

To co Goplana ma do wypowiedzenia od siebie, aby objaśniła się tak, jak każe jej twórca, w bardzo małej części wypowiedzieć się daje z muzyką, ale przy muzyce możnaby tego dokazać jak najpomyślniej. Nie uwzględniono tej konieczności, no i kończy się na tem, że Goplana nie tylko nie daje wrażenia, ale co gorsza daje wrażenie ujemne. Albożtak łatwo można się domyśleć np. czego ona chce od Grabca? Przecież tego nie dowiaduje się widz ani od niej, ani od tych dwóch pełnoletnich sylfów, ani nareszcie z samego aktu ciągłego uciekania tego chłopa brzydala. Jeśli już szło o realizm sceny, to nie tak wyjść powinna scena komiczna miłosnych uniesień wieszczki wód, i wstrętów parobczaka, który widzi w tej natrętnicy tylko rodzaj *„galarety"* i nie pojmuje tych wszystkich, którzy czują pociąg do takiej kobiety.

Ale, bo też i Grabiec! Ależ bo i rola jego! Opłakany i on i ta rola prawdziwie. Kto mógłby pomyśleć nawet, że temu rzeźkiemu parobczakowi da ktoś piękny głos tenora, a przeszkodzi mu do namalowania się swoim własnym kolorytem. Jeśli ma być już tutaj muzyka, niechajżeby była lekka, zharmonizowana z treścią—niechajby w aryjce komicznego nastroju wywnętrzył on się z tem, że zabiegi Goplany dla niego nie są żadne dziwy, bo on jak przez wieś idzie, to serca jak śliwy lecą pod jego nogi. A! pan Grabiec, Grabiątko! pomóż Grabku grabić! A to znaczy, że za niego gotowe się zabić, i to, że... się na sianie dadzą pocałować.

Niema jednakże tego, a jest natomiast scena zaklęcia Grabca w wierzbę, scena, której ostrożność radziła unikać, bo to ślizki jest grunt niesłychanie do scenicznej ekspozycyi. Potrzebne to może być niby przez wzgląd na konieczność świadka przy morderstwie Aliny, ale nieśmielibyśmy udowadniać, że korzyści zastosowania konsekwencyi powikłań dramatu pokrywają nieuchronne prawie w danym wypadku szkopuły wykonania.

Jednem słowem o Grabcu radzibyśmy zapomnieć, bo Grabiec z pewnością udany nie jest.

Czy lepiej od Goplany i Grabca wychodzi w przeróbce libretta i na scenie wdowa i jej córki? Rozumie się, że podobnie jak wszędzie tak i tutaj zdania mogą być podzielone, aleć jest przecie i tu do zachowania pewna stała miara, której przekroczenie naraża na szwank harmonją, jaka panować musi między postacią na tle domniemanego rozwoju jej epoki, a tem, co postaci owej kładziemy w usta jako słowo, tembardziej jako pieśń. Są tu nawet stopniowania pewne, które nam gwarantują większe lub mniejsze postaci takiej prawdopodobieństwo, tak bardzo potrzebne każdemu wrażliwemu słuchaczowi. I tak, słowo proste wydaje nam się dla takiej naprzykład wdowy z leśnej chaty najodpowiedniejszem. Mowa wiązana musiałaby być wielce kunsztowną w prostocie swojej, aby nie raziła zmysłu krytycznego oświeconego widza, i taką też jest ona właśnie w Balladynie Słowackiego.

Na pieśń prostą — nb. melodyjną—zgoda, byle ta melodya nie była pozbawioną prastarego charakteru swego. Ale co się tyczy muzyki wysokiego stylu, wykwintnej formy—muzyki uczonej...

Co tu o tem mówić! To niebezpieczna materya, bo ten słuchacz, ten widz od krytyki, od analizy, od porównań odsądzić się w żaden sposób nie pozwoli, i wdowy takiej, wykonywającej po mistrzowsku pasaż jakiś zupełnie niepojmie, a nawet znalazłby się niejeden taki, który gotów byłby twierdzić, że im pasaż lepszy, tem wdowa gorsza.

Tem mniej zrozumiałemi będą dlań na pierwszy zaraz rzut oka obie córki, robiące odrazu wrażenie panienek z dobrego domu, posażnych, i dobrze wychowanych...

Niechajże niewyobraża sobie nikt, że my do artystów naszej opery mamy o to wszystko pretensyą. Strzeż nas Boże od podobnej niesprawiedliwości. Toż oni zapracowują się nad poratowaniem grzechów, jakich się dopuszczono względem autora Balladyny, ale grzechy takie nie zawsze, a raczej nigdy prawie powetowane być nie mogą.

O muzyce Goplany nie powiemy dzisiaj nic, pozostawiając jej ocenę pióru kompetentnemu w przyszłym numerze „Tygodnika."

A. S.

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

KĄDZIEL.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Nazajutrz rano nie było w domu Stasi. O świcie, umówiwszy się zapewne z wieczora, i wcale starszych nie uprzedzając, poszła z Kaziem na kaczki.

Wrócili około południa, oboje obłoceni po szyję. Stasia niosła z kawalerską dezenwolturą kapelusz na tyle głowy, flintę na ramieniu, dwie kaczki u torby i gwizdała.

— Jezus, Marya! — jęknęła Ozierska.—Do czegoś ty podobna!

Włodzio usłyszawszy co Stasia gwiżdże, począł chichotać i dogadywać, ciocia Dysia aż przestała drylować wiśnie, Pani Taida obejrzała ją od stóp do głowy, wstała i zawołała za sobą Kazia do domu.

— Będzie mu ciepło! — mruknął Włodzio.

— Moje dziecko! — rzekła przerażona ciocia Dysia. — Samaś te kaczki zabiła?

— Sama, a jakże! Była i trzecia, ale upadła w taką topiel, że gdym po nią poszła o małom nie została na zawsze.

— Jakże ci na to Kazio pozwolił?

— Wcalem się go nie pytała. Nie jestem dama, żeby mi świadczył grzeczności.

— A co ty jesteś? — zagadnęła śmiejąc się ciocia Dysia.

— Jestem człowiek! — i położywszy kaczki na stopniach ganku dodała. — Zarobiłam na śniadanie!

Pani Taida wróciła i ozwała się:

— Zarobiłaś na coś jeszcze więcej. Powiem ci po śniadaniu.

— Idźże się przebierz! — zawołała oburzona matka i zastanów się, czy to wypada tak się zachowywać!

— Mama się wiecznie turbuje, że nie wypada. Niech mama mocno kopnie to wypadnie! — rzekła niefrasobliwie Stasia, niknąc w domu.

Ozierska spojrzała bez słów na panią Taidę.

Ta ramionami ruszyła.

— Ano, dałabym jej radę, ja — rzekła. — Kazio już drugi raz nie pójdzie, za to ci ręczę!

W jadalni dwoje winowajców zeszło się u stołu.

— Cóż! dostałeś? — zagadnęła Stasia.

— Wiadomo! — mruknął Kazio.

— Bo ja ci mówię i powtarzam. Idźmy w świat!

— Et! matki nie porzucę.

— Głupiś!

— Samaś głupia!

Na tem się urwała rozmowa, bo byli oboje bardzo głodni, więc nawet kłócić się nie mieli czasu. Dopiero zjadłszy wszystko, co było na stole, Stasia spytała:

— Pójdziemy jutro?

— Ani myślę wodzić ze sobą babę, o którą mnie potem łają jak smarkacza.

— Przypomnę ci to po wakacyach. Pamiętaj! — rzuciła oburzona, wychodząc.

Czekała na nią pani Taida i zagadnęła:

— Powiedzże mi, Stasiu, jakie masz zamiary na przyszłość?

Dziewczyna była w najgorszem usposobieniu. Siadła na schodkach, podparła brodę pięściami i żuła przekleństwa.

— Moich zamiarów pani nie zrozumie! — odparła.

— Dlaczegóż to?

— Bo pani pochodzi z epoki niewoli i ciemnoty, a ja stoję u wrót swobody i oświaty.

— Stasiu! — jęknęła matka.

— Daj pokój, moja droga! Przecie ona mnie nie może obrazić. Owszem, ciekawam tej nowej epoki. Dążysz tedy do swobody i oświaty. Jedno i drugie jest szanowne, ale to nic nowego, ani dla mnie niezrozumiałego. Chcesz tedy nauki, a potem pracy! To bardzo dobrze. Tylko czy ty rozumiesz, czego chcesz—co jest nauka i praca?

— No, to chyba elementarz! — zaśmiała się Stasia!

— Szkoda tedy, że tego elementarza nie umiesz. Bo dokuczać matce, to nie oświata, ale dzikość, a błocić się na kaczkach, to nie praca ale swawola.

— Nie ja matce, ale matka mnie dokucza. Polowania nie zabrania mi żadne prawo, tylko głupi, nielogiczny obyczaj. Tego wypełniać nie myślę.

Starsze panie milczały, ale Stasia rozgrzała się i wybuchła.

— Żeby się kto chciał zastanowić, ile takich anachronizmów, jak rak toczy ludzi. Żeby kobiety same się zastanowiły, jaki dla nich jest wstyd i hańba w tych obyczajach niby opiekuńczych, w tem ohydnem „nie wypada!" Nie wypada się uczyć, bo to ujma kobiecości—nie wypada samej jeździć i chodzić—nie wypada pannie obrać sobie fach i opuścić dom rodzicielski—nie wypada ostrzydz warkocze, zarzucić gorset, ubierać się niemodnie—nie wypada nie być naiwną, palić tytoń, śpiewać wesołe kuplety i gwizdać—nie wypada być człowiekiem, mieć indywidualność, charakter! No, a gdy przestrzega tych prawideł, jakaż nagroda? — dostanie męża. To ci dopiero szczyt, wart takiego starania! Miałabym się za kretynkę, żebym dla takiej nagrody spełniła choć jedno „wypada" i zatruła sobie jedną minutę mojej złotej swobody.

— To są słowa, a gdzież twoje czyny? — spytała spokojnie pani Taida.

— Słów mi nikt nie hamuje, a czyn każdy muszę zdobywać. Mam lat siedemnaście, i kończę gimnazyum. Pani synowie tyleż uczynili z pomocą i zachętą całego świata, co ja z buntem, przeszkodami i oporem. I jeśli kto kogo się radził w matematyce, to nie ja ich.

— A potem? — badała poważnie pani Taida

— Jak zdam na patent, będę korepetycyami zbierać fundusz na uniwersytet, słuchając gniewów i rozpaczy rodziców, jakbym cześć swoją sprzedawała. Dobrego słowa nikt mi nie dał i nie da, a nawet go teraz już nie chcę. Przebojem dojdę do celu!

Za chłopami uciemiężonymi, spodlonymi niewolą, gardłowali wszyscy szlachetni, za murzynów leli krew bohaterowie, kobiety są także spodlone i uciemiężone, ale o nie nikt się nie upomni, a jeśli się kto odezwie, to tylko z szyderstwem! Te też i my do społeczeństwa, co nas zakuło w niewolę, czujemy nienawiść!

Tu ciocia Dysia podniosła swój cichy głos.

— Ależ, Stasiu, na świecie nie brak pracy, ale rąk chętnych, nawet nie burząc podstaw społecznych. Nie ten wiele robi, kto wysoko stoi, ale ten, kto choć maluczki, spełnia powołanie.

— Ale jeden ma powołanie chować cielęta i dzieci, a drugi być astronomem lub chemikiem!

— A wiesz ty, że u nas w kraju dużo mniej jest poprawnych cieląt, niż uczonych ludzi — zawołała pani Taida. — Mamy kraj rolniczy, a stoimy najniżej w kulturze rolnej, tracimy ziemię z pod stóp z powodu niezdarstwa jednych, a wielkich aspiracyj drugich. Jak żydów klątwa Boża, tak nas własna głupota wypędzi z ziemi. Żebyś ty była *człowiekiem*, to byś nie powinna myśleć o swojej płci, ale o swojej narodowości, bo to jest kwestya wobec której twoje szalone idee, chociaż mają może racyę, powinny siedzieć cicho.

Stasia umilkła, gorejącemi oczami patrząc na mówiącą. Pierwszy raz w życiu, ktoś jej tak kwestyę postawił, i tam myśl skierował. A pani Taida mówiła dalej:

— Dlatego my powinniśmy być w zgodzie i jedności. Pilnować zasad, obyczajów, milczeć na wszelkie osobiste uciski i utrapienia, sił nie marnować na nic innego. Szanować starszych, bo to jedyna nasza własna władza, strzedz się buntów i gwałtów, być wzorem, nie zgorszeniem. Zazdrościsz laurów bohaterom swobody chłopów i murzynów. Wierz mi, i to jest sztandar, pod którym służyć warto, tylko na to trzeba być człowiekiem!

I to powiedziawszy, pani Taida wstała, a przechodząc przesunęła rękę po roztarganej czuprynie Stasi, i poszła do swojej roboty.

Ozierska i ciocia Dysia miały tyle taktu, że nie dodały słowa więcej—żadnych morałów, i Stasia pozostała na ganku sama, zadumana. Przesiedziała tak godzinę, a potem poszła przez ogród na drogę polną, po której majestycznie sunęły furgony naładowane zbożem. W około łany się ciągnęły, jak okiem zajrzeć, jedne już puste, najeżone ścierniskiem, inne jeszcze falujące owsem, inne pługami podarte, czarne. Ludzie się wszędzie uwijali, a wśród nich ukazywała się co chwila pani Taida na swym wózku, jak wódz wydając rozkazy, strofując, ucząc, bacząc na wszystko.

Stasia usiadła na wzgórku, pod krzyżem, i przypatrywała się uważnie kilka godzin. Zastał ją tam Kazio, wracający od bydła z pastwiska.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Powieści Prządek.

Na Wyżyny.

W głębokim, zielonym jarze, zdala od świata, mieli chatkę bluszczami obrosłą. Do okien ich zaglądały bzy kwitnące, i w ciche noce słowików miłosny, słodki dolatywał śpiew. Po stokach jaru spływały powoje, środkiem jego kryształny wił się strumień.

Byli młodzi i piękni, i jar zielony rajem im był, niebem był ich miłości.

Rankiem, gdy bluszcze i powoje ozłociło słońce, szli, trzymając się za ręce, nad brzeg krynicy. Ona rączką białą czerpała krople kryształu, i niosła je do ust różanych, on patrzył na nią i mówił: „Lilio moja!"

— Ukochany mój! — odpowiadała szeptem, i nigdy innem nie nazywała go imieniem.

Potem rozplatała warkocze, a poranne promienie słońca padały z pieszczotą tajemną na falę tę jasną, zapalając w niej złote, migotliwe połyski. On siedział u jej stóp i wzrokiem rozkochanym patrzył na jej twarz liliową, na włosów jej płaszcz długi, złocisty.

I brali się znowu za ręce, i na łąki szli kwietne, pod niebo błękitne, w powietrze jasne i wonne. Wietrzyk muskał ich twarze, i z ust jednych do drugich niósł wyrazy pieszczoty.

A gdy słońca zaczynał wzmagać się żar, szukali chłodu leśnego i krynicy czystej.

Wśród konwalii i dzwonków, na kobiercu z mchów ona drzew słuchała szumu, pieśni lasu słuchała rozmarzona, on zbierał dla niej jagody i kwiaty.

Była w lesie polanka, która najsilniej nęciła ich ku sobie. Czy woda tam najdźwięczniej szemrała, czy najmiłośniej śpiewały tam ptaki, czy rosło tam ziele czar. nie wiem, dość że usta tam same chyliły się do ust. Pocałunków ogarniał ich szał. I nie widzieli już błękitów nieba nad sobą, ni mchów, ni kwiatów dokoła, pieśni lasu nie słyszeli szumnej... Miłości płomieniem gorzeli oboje. Dwie pochodnie a jeden płonął żar.

Upojeń, zapomnień chwile spływają w wieczność tak szybko, tak hyżo! Lilio moja Ukochany mój! A las przykładem ich porwany gra nad nimi miłości czarodziejską pieśń.

Naraz, w pieśń tęskny jakiś wpada ton. Czy Lilii tak się wydaje, czy naprawdę w ogromnym hymnie puszczy słychać jakby płacz. Zawsze, o zawsze z upojenia snu budzi ją ta nuta dziwna, i wtedy rozplata ramiona, i serce jej żałości fala opływa, fala tęsknoty, pragnień niezrozumiałych, nieziemskich.

Czasami, gdy ukochany całuje jej usta, ona w przestrzeń pogląda daleką, i znów taką samą tęsknotą wzbiera jej łono.

Wtedy nie palą ją pocałunki jego. Wtedy ona od niego daleka. A on dziwi się i pyta:

— Co ci jest, Lilio?

— O ukochany, smutek jakiś wpadł mi nagle do duszy. Za wiele szczęścia, miły mój, za wiele! Radości naszej zazdrości jakiś niewidzialny duch, i gdy w ramionach twoich spoczywam, kwiatami tęsknoty obsypuje mi skronie.

— Najpiękniejsza! miłości takiej jak nasza niema na świecie, szczęśliwszych od nas nie było i nie będzie, ale nie mów słów smutnych. Pocałunkami wypalę je na ustach, na ustach twoich, kwiecie mój biały!

— O ukochany, gdy wieńcem z róż stroiłeś mi skronie, na czoło moje spadły dwie łzy. Ty miałeś uśmiech na twarzy, ale ktoś płakał koło nas...

— To krople rosy były, o luba!

— Gdy o zachodzie słońca, przy wtórze lutni pieśń nuciłeś miłosną, jęk jakiś przeleciał w powietrzu.

— To puszczyk był pewno, o miła.

— Gdym zasypiała, marzeniem rozkosznem kołysana, ucichły naraz głosy słowicze, i z oddali odezwały się krakania orłów i kruków. Spojrzałam w okno. Wysoko, wysoko stado orłów leciało; one pewno od mogił leciały, mój miły!

— To sen był tylko, o dziecię!

Tak uspokajał ją, a ona patrząc w oczy jego czarne, ogniste, promienie wesela rzucające dokoła, zapominała o tęsknotach swoich i o tych głosach żałości, co ze stron przeróżnych szły do niej.

Aż jednej nocy obudziła ją światłość, która niespodziewanie po całej chacie się rozlała. Czy to promienie miesiąca wpadły oknem i bielą tak ściany, czy może świt blady zagląda już!

Jużciż miesiąca to promień, ale po nim spływa do chaty postać jakaś świetlana, przepiękna, i dłoń ku niej wyciąga, i głosem podobnym do dalekiego szmeru harf ją woła: „Pójdź za mną! Jam to mówił do ciebie szumem puszcz i orłów krakaniem, skrzydłem mojem trącałem twą duszę i odpowiadała mi drżeniem tęsknoty. Z wyżyn spływam ku tobie, by na wyżyny cię pociągnąć. Ja ci pokażę słońc krwawe nad mogiłami zachody, ja ci usłyszeć dam wszystkie lasów płacze, wycia i jęki podziemne... chodź za mną! W dyamentach łez się przejrzysz, mgły ukochasz i nici pajęcze. Po promieniach miesięcznych iść będziesz za mną ku górze, ku temu, co niepojęte, nieogarnione. Porzucisz tego, któregoś ukochała na ziemi, i z harfą płaczącą za mną iść będziesz!

A ona odrzekła:

— O Panie, poznaję cię. Tyś jest tym, za którym dusza moja tęskniła nieświadoma. Głos twój - poznaję — słyszałam w szumach leśnych i szmerach strumieni, w krakaniu orłów i słowików śpiewie. Tyś jest pięknością i światłem, tyś... ideałem! Ale jakoż porzucić mi tego, któregom ukochała. O pozwól i jemu pójść za sobą.

Jako ciebie, trącałem go skrzydłem mojem złotem, ale ze snów ziemi nie powstał.

— Więc ja go zbudzę, pozwól mi!

— Promieni moich złotych garść sypię na włosy twoje. Budź tego, któregoś ukochała.

I odszedł duch świetlany.

— Lilio moja, jakżeś piękną dzisiaj — wołał nazajutrz młodzieniec. — Jasność idzie od ciebie!

I zdziwionym wzrokiem spoglądał na nią, i nie śmiał dziś, jak co rano ust jej pocałunkiem powitać.

Jakąś inną, jakąś dalszą wydała mu się tego ranka.

— O ukochany mój, czemuś się nie zbudził? Piękny duch nawiedził nas dzisiaj. Pójdźmy za nim w krainę światłości!

A widząc, że nie rozumie jej słów, i z żalem spogląda na nią, jęła opowiadać mu długo o postaci świetlistej, którą w nocy ujrzała nad sobą.

— O Lilio! Nie żal ci chaty i jaru, bluszczów zielonych i słowików? Miłości naszej nie żal ci, szalona!

— Ukochany! Są blaski silniejsze niż te, które dzień pogodny po łąkach kwiecistych sieje. Jest piękność wyższa od tych, które znaliśmy dotąd, są pieśni cudniejsze od tych, które ty mi śpiewałeś! Jest miłość świętsza od tej, którą serca nasze się kochały. O pójdź my w kraj piękna i światła, w ideału kraj!

A'e on smutnie pochylił głowę i miękim kuszącym głosem powtarzał: „Kocham ciebie! Kocham ciebie i miłości mojej kraj! Kocham usta twoje i oczy, młodość i piękność twoją! Nie opuszczaj mnie!

Oczy jej z tęsknotą i zachwytem podniosły się ku górze, zkąd ku niej spływała postać skrzydlata, promienna, przepiękna...

— Ukochany mój, za nim, lećmy razem!

Zjawiskiem nadziemskiem olśniony, z przerażeniem na twarzy cofał się wstecz.

Ukochany, rękę mi daj! Uściskiem złączeni popłyniemy w dal, ku gwiazdom.

Głowę pochylił ku ziemi, niby znużony i senny.

— Nie opuszczaj mnie! — prosił jeszcze pobladłemi usty.

Ale ona już ze skrzydłami złotemi u ramion, za aniołem świetlistym w krainę gwiazd i słońc ulatywała.

Helena Ceysinger.

Epopeja Dziennikarza.

Panna Ewangelina Cisneros jest młodą osiemnastoletnią osobą niepospolitej urody. Rodzina jej, pochodzenia hiszpańskiego, od wieków zamieszkuje Kubę i dała „perle Antyllów” wielu zasłużonych patryotów.

Gdy wybuchła obecna wojna o niepodległość, ojciec pięknej kreolki, zamożny plantator, mimo posiwiałych włosów i osłabionych latami sił, chwycił za broń, by walczyć za wolność wyspy. Panna Cisneros nie chciała rozstać się z ojcem — dosiadła konia.

I przez długie miesiące dzieliła losy powstańczego oddziału, pielęgnując rannych i chorych, Widziała zblizka straszną walkę, tak różną od naszej europejskiej cywilizowanej wojny, w której olbrzymie korpusy armii odgrywają rolę pionków na szachownicy, kierowanych ręką matematyków raczej, niż wodzów. Na Kubie wojna ma inny charakter; cofa się w daleką przeszłość. Na tle dzikiego i egzotycznego krajobrazu, niby w jaskrawym kalejdoskopie, przesuwają się gwałtowne napaści, niespodziane zasadzki, tułanie się po tajemniczych podzwrotnikowych lasach, błyskawiczne marsze, walka wreszcie zacięta i śmiertelna, walka natchniona nienawiścią bez pamięci.

Stan zdrowia pana Cisneros zmusił go do opuszczenia szeregów i powrotu do domu. Tu wszakże żołnierze generała Weylera pochwycili go natychmiast, i starca wtrącono do więzienia.

Panna Ewangelina była w rozpaczy. Aż nadto często słyszała o męczarniach, które Hiszpanie zadają więźniom. Oczyszczono i naprawiono pordzewiałe narzędzia tortur z czasów inkwizycyi, i średniowieczne okrucieństwa odnalazły się u schyłku dziewiętnastego wieku, w epoce chlubiącej się poszanowaniem względów humanitarnych.

Aby wybłagać uwolnienie ojca, panna Cisneros udaje się do komendanta załogi hiszpańskiej, pułkownika Berris. Oficer przyjął ją uprzejmie i obiecał pomoc. Gdy wszakże piękne, zapłakane dziewczę błagało o litość, w oczach śniadego, niemłodego już Hiszpana zabłysły niebezpieczne żółte ogniki... W kilka dni później wezwał do siebie pannę Cisneros i zawiadomił, że sprawa jej ojca jest zła, że on jednak może przezwyciężyć trudności i uwolnić go. Zrobi to atoli wówczas, gdy panna Cisneros zgodzi się na pewne warunki.

— Zgodzę się na wszystko, by uratować ojca! — woła szlachetne dziewczę.

Niestety! Myliła się. Nie mogła przyjąć owych warunków, które jej postawił nie przebierający w środkach, bezczelny Don Juan. Odeszła ze spuszczoną głową, sercem rozdartem bezdennym bólem, zrozumiała że ojca uratować nie może...

Ale pułk. Berris nie zrzekł się tak łatwo swych haniebnych zamiarów. Niby drapieżny jastrząb począł kręcić się nieustannie koło domu, w którym mieszkała piękna kreolka. Przerażona jego natrętwem, panna Cisneros udała się do znajomych z prośbą o opiekę.

Rozzłoszczony tym oporem Hiszpan nie cofnął się przed zemstą. Dom otoczyli żołnierze, wyciągnięto pannę Cisneros z jej pokoju i rzucono do więzienia pod pretekstem, że utrzymuje korespondencyę ze swym stryjem, który jest jednym z przywódców rewolucyi.

Młodą osiemnastoletnią dziewczynę, wychowaną w dostatkach i wygodach zbytkownego życia, ciśnięto do brudnych, ciemnych sal, zapełnionych murzynkami najgorszej kategoryi moralnej...

Wszystkie szlachetniejsze serca w Havannie oburzyły się, a z piersi wybiegł jeden krzyk grozy. Atoli wszelkie usiłowania, celem uwolnienia dziewczęcia okazały się daremnemi. Generał Weyler, niepohamowany w swej srogości dla rodzin rewolucyonistów, dał wyrok, skazujący pannę Cisneros na dziesięcioletnie ciężkie więzienie.

Teraz już nietylko cała Kuba wstrząsnęła się. Wieść o tem niebywałem okrucieństwie przedostała się do Stanów Zjednoczonych. Pani Lee, żona amerykańskiego konsula w Havannie, wymownemi słowy wołała o po-

moc. Że zaś wolni obywatele Ameryki żywią dla kobiety wysoki kult, więc tem większe wrażenie wywarł straszny los młodego dziewczęcia. Najsilniejszą agitacyę przedsięwziął młody a energiczny redaktor „New York Journal," p. Hearst. Zaprojektował on olbrzymią petycyę do królowej-regentki hisz pańskiej, podpisaną przez setki tysięcy kobiet amerykańskich i angielskich. Nazwiska księżny Westminster, lady Henry Sommerset, lady Rotschild, hrabiny Carlisle stały na czele.

Królowa jednakże uległa naleganiom gen. Weylera i petycya pozostała bez skutku.

Wówczas p. Hearst, znając religijność królowej-regentki, zdołał uzyskać interwencyę Ojca Świętego na korzyść uwięzionej kreolki.

Leon XIII otrzymał korną ale stanowczą odpowiedź, że względy polityczne nie pozwalają ułaskawić panny Cisneros...

Zdawało się że wszystko stracone! Panna Cisneros miała dusić się i nękać w długoletniem ciężkiem więzieniu, i mimo współczucia całego cywilizowanego świata, strawić młodość w ponurej ciemnicy...

Tak, ale od czegóż energia i przedsiębierczość dzielnego amerykańskiego redaktora?..

Ongi, wydawca „New-York Heraldu," p. Gordon Benett potrafił wysłać Stanley'a celem odszukania Livingstone'a w skwarnych zaułkach Afryki.

P. Hearst znalazł w swej redakcyi tęgiego dziennikarza, znającego wybornie Havannę. Był to pan Karol Decker, odważny jasnowłosy Anglosakson o szerokich ramionach.

— Otwieram panu kredyt nieograniczony, stawiam do rozporządzenia specyalny parowiec. Jedź pan na Kubę i uwolnij pannę Cisneros — rzekł p. Hearst.

— All right! — odpowiedział p. Decker.

I ruszył śmiało w drogę. Dobrał sobie do pomocy dwóch zdecydowanych na wszystko zuchów, i zabrał się raźno do dzieła.

Kilka tygodni minęło, zanim, przybywszy do Havanny, dzielni Amerykanie dowiedzieli się, w której sali więzienia Recojidos przebywa panna Cisneros. Ciemnica ta mieści się w niższej części miasta, zamieszkałej głównie przez ubogich murzynów. Wązka uliczka biegnie wzdłuż posępnego budynku. Sala, w której znajdowała się p. Cisneros, była położoną na drugiem piętrze, okna zaś nie wychodziły na ulicę, lecz na t. zw. azotea, czyli mały teras.

Znaczne datki pieniężne rozdawane strażnikom pozwoliły p. Deckerowi przesyłać uwięzionej cukierki, we wnętrzu których znajdowały się kartki, zawiadamiające o przedsięwziętem działaniu. Wynajęto dom, położony przy więzieniu, i nareszcie pewnej ciemniejszej nocy, zbadawszy uprzednio dokładnie topografię miejscowości, trzej odważni Amerykanie ruszyli na dachy. Zaopatrzyli się w pilniki i szczypce Stiltona do przecinania sztab żelaznych. Droga była w mroku ciężka i niebezpieczna. Każde poślizgnięcie, każdy ruch mniej zręczny groził śmiercią. Nareszcie przybyli na dach ponad salą, która więziła biedną ofiarę. Spuszczono małą sznurową drabinkę na taras. Przy tych przygotowaniach wszakże oberwał się nagle kawał gzymsu i upadł z hukiem na ziemię.

Strażnik drzemiący w budce przy bramie, wyszedł zobaczyć przyczynę hałasu.

Chwila była krytyczną. Jeśli spojrzy w górę, dostrzeże przy blasku księżyca, który się właśnie ukazał, drabinę i trzy ciemne męzkie postacie na dachu. Z utajonym w piersiach oddechem, trzy rewolwery zmierzone w piersi szyldwacha, Amerykanie śledzili każdy jego ruch. Ale na szczęście żołnierz nie podniósł głowy i wrócił do swego schronienia.

Trzej Amerykanie spuścili się na „azotea."

Panna Cisneros, powiadomiona o ich przybyciu, stała już w oknie. Przy pomocy cukierków, zawierających silną dawkę laudanum, czarne współtowarzyszki więzienia były pogrążone w głębokim śnie.

Rozpoczęła się ciężka praca wyłamania okiennych krat. Lecz Amerykanie mają tęgie muskuły. Prędko rozszerzają otwór, panna Cisneros wydobywa się na taras i po dachach, prowadzona przez oswobodzicieli, dostaje się nareszcie do oczekującej w zaułku karety, która rusza natychmiast galopem. W kilka godzin potem z portu odpływa parowiec, osłonięty gwiaździstą flagą Stanów Zjednoczonych!..

...Hip! hip! Hurrah! — brzmią okrzyki dwukroćstotysięcznego tłumu na Madison Square.

Panna Cisneros przybywa do New-Yorku, jest bezpieczna na wolnej ziemi amerykańskiej. Rozentuzyazmowani Yankesi wybawcę Deckera niosą na ramionach.

Oddając cześć bohaterowi, tłum nie zapomina o tym, który dał szlachetną inicyatywę, nie szczędził trudów, łożył znaczne koszta. Przed gmachem „New-York-Journalu" odbywa się potężna demonstracya na cześć p Hearst. Istotnie, dzielny to człowiek. Młody jeszcze, syn amerykańskiego miliardera, miast korzystać spokojnie z pozostawionych olbrzymich bogactw, wolał oddać się zmudnej pracy dziennikarskiej, poświęcić czas i pieniądze szlachetnym czynom.

Dziennikarstwo amerykańskie posiada tęgich ludzi!

St. K.

ODKRYCIE.

Epizod z naszej epoki.

(Ciąg dalszy).

A tam w salonie słychać było kroki tego niedołęgi umysłowego, tej mierności upośledzonej, przybranej w elegancki garnitur, tego po tylekroć odtrąconego aspiranta.

— Ha dziej się wola Boża! — zawołała z determinacyą. — Spróbuję. Przecież mu nie powiem wszystkiego, sprawy skompromitować nie pozwolę, a jakiś, jakiś pożytek raz przecie z niego wyciągnąć potrafię i z twarzą, na której odbijał się jeszcze stan wewnętrzny, stanęła przed gościem swoim.

Gdy weszła do salonu, on zarzucił ją zwyczajem swoim powodzią prawdziwą tuzinkowych miejskich ploteczek, ale wprędce mimo nawet płytkości i roztrzepania swego dojrzał z jej oczu zapatrzonych gdzieś w dal, że słuchaczka o sto mil jest myślami od tego szczebiotu całego. Obniżył też odrazu nastrój, z jakim spełniał swoją towarzyską funkcyę, potem zamilkł zupełnie, a wreszcie z pewnym niepokojem zagadnął nieśmiało:

— Co tobie, kuzynko?

— Powiedz no, ty stare niepoprawne dziecko — odezwała się p. Julia nie zważając zupełnie na wszystko, z czego jej się przed chwilą wywnętrzał, a nawet nie odrywając oczu od tego punktu w przestrzeni, w który się automatycznie wpatrywała — powiedz ty mi, czy przy wielkiem natężeniu woli, możesz w ciągu kwadransa odpowiadać z rozwagą na pytania, którebym ja naprzykład postawić ci chciała?

— Bóztwo moje! pytaj!

— Zachęcający wstęp! — pomruknęła apatycznie, ale wprędce zbierając siły, zaczęła znowu:

— Zanim powiem o co mi chodzi, chcę cię objaśnić pod jakimi warunkami mogę zażądać od ciebie tej przysługi. Wiesz, że nie mam zwyczaju narzucać się komukolwiek, a tobie nie więcej jak innym, jeśli więc na ten raz jeden robię względem ciebie wyjątek, muszę mieć po temu powody ważne.

— Zrobię wszystko — zrobię więcej jak każesz, — zapewniał p. Hannibal zachwycony rolą powiernika, która mu podwoje raju, dzięki jego wyobraźni galopującej, otwierała.

— Otóż to właśnie chodzi, żeby nie było nic więcej jak to tylko, o co ja prosić będę. Ani odgadywania, ani domyślności, ani wywiadywań żadnych wprost czy ubocznie. Jakże — zgoda?

— Przysięgam, że będę widział to, co każesz widzieć, a potrafię zamknąć na resztę oczy.

— Kiedyś taki ustępny — słuchajże!

— Zamieniam się w słuch cały.

— Czy nie ma u nas — tu zatrzymała się na chwilę, — instytucyi, biura biegłych kaligrafów, a w braku tego pojedynczych ludzi, którzyby używani byli w potrzebie jako kaligrafowie—rzeczoznawcy przy sprawach sądowych naprzykład?

— Instytucyi niema —. to wiem napewno; ludzie pojedynczy muszą być, bo...

Tu urwał sobie nagle p. Hannibal, a w chwilę potem uderzywszy się w czoło z archimedesowym zachwytem, wykrzyknął:

— Gdzie moja głowa! Aleź ja mam—mam człowieka! Tego nikt by ci w Warszawie wskazać nie mógł prócz mnie — uważasz kuzynko — nikt prócz mnie jednego!

— W takim razie, znaczyłoby to, że jest on jedną z t. z. wielkości zapoznanych, a ja tego bractwa, wyznaję, że nie obdarowywam mojem szczególnem uwielbieniem.

— Alež to wyjątek — wyjątek pod każdym względem.

— Czy stawał kiedy jako biegły?

— Nie u nas.

— A gdzież stawał skoro nie w kraju?

— Tylko w Anglii.

— Opowiedzże mi, co o nim wiesz.

— Ach, to dramat cały...

— W takim razie opuść prolog i ze trzy akty przynajmniej.

— Niech i tak będzie! Epilog, to jego życie dzisiejsze, będę tedy musiał zacząć od czwartego. Widzisz kuzynko, my poznaliśmy

się z nim w ten sposób: W czasie tułaczki mojej po różnych miastach Europy, zabłądziłem ja pewnego razu i do Londynu także. Zrazu wydało mi się, że nie zagrzeję tu długo miejsca, ale okoliczności zrządziły inaczej. Póki były środki, szukało się rodaków, żyło jako tako, i wtedy też poznałem się i ze starym Hermanem, który się liczył do tamtejszego wychodźtwa. Ja byłem młody, on miał już coś około pięćdziesiątki, ja szukałem towarzystwa, on biegał za pracą od rana do nocy, i stało się tak, że bez wielkiego trudu i zachodu ja mu niby do znalezienia tego zarobku trochę dopomogłem. Stary był i jest ogromnie poczciwy, i powiadam ci kuzynko, że kiedy koło mnie zrobiło się bardzo, bardzo krucho, jak to zresztą bywało zawsze peryodycznie, to mnie wziął do siebie i pamiętał o mnie, no i...

— Rozumiem, ale mówmy o nim. Więc on tam na obczyźnie wypłynął?

— A jakże.

— I jakim sposobem?

— Zaczął od litografii, bo to artysta potrochu i właściwie mówiąc on nie pisze, ale rysuje swoje litery, a później bawił się między innemi i grafologią. Przez to należał do jakiegoś klubu londyńskiego, a już tam później po uzyskaniu naturalizacyi, udało mu się dojść do tego, że został biegłym przysięgłym i to nawet podobno jednym z reputowanych bardzo.

— Wrócił do kraju dawno?

— Niedawno—rok temu dopiero. Powiada, że przyjechał umierać, jak to on się wyraża, na swoich śmieciach.

— A tu co robi?

— Żyje biednie—potrzebuje mało, a wreszcie może ma jakieś swoje małe zasoby z tamtych czasów. Jest przytem rytownikiem.

Panna Julia popadła w zadumę. Kuzyn opowiadał jej jeszcze coś o swoim starym znajomym, ale już jej teraz niepotrzebne były dalsze szczegóły. To, czego się dowiedziała wystarczało zupełnie. Jeśli tylko tak się miały rzeczy, a wszystko pozwalało przypuszczać, że nie inaczej, to znaczyło, że ona swojego człowieka znalazła, i że dalsze rozglądanie stawało się od tej chwili zupełnie zbytecznem.

Zresztą po zagmatwaniu się sprawy w czytelni, innej drogi dochodzenia, właściwie mówiąc, nie było. To też po krótkim namyśle przystąpiła do zużytkowania wiadomości, które nad wszelkie przewidywania mogły się okazać ważnemi, pomimo że wychodziły z tak podejrzanego źródła informacyi.

— Powiedz ty mnie, mój nieoceniony sprzymierzeńcze, czy ja mogłabym się widzieć z tym człowiekiem?

— Widzieć? — widzieć osobiście?

— Nie znam innego sposobu widywania się.

— A czy ja nie jestem w możności służyć wam za pośrednika?

Panna Julia za całą odpowiedź pokręciła głową przecząco.

— Nawet gdybym włożyć w to chciał całą wymaganą dyskrecyę i przebiegłość?

— Nawet gdybyś był dyskrecyą i przebiegłością samą, a wie Bóg, wiedzą ludzie i wiesz ty nawet, jak dalekim jesteś od możności pochlubienia się tymi szacownymi przymiotami. Widzisz, że mówię otwarcie i że mam słuszność.

— No, dajmy na to! Ale bo widzisz — protestował p. Hannibal, który nierad był zapewne, że jego rola medyatora tak szybko się urywa — bo widzisz to kawał dziwaka, mizantropa..

— Nie może być inaczej — zadyktowała p. Julia z powagą i absolutyzmem pięknej kobiety, która mówiąc do swego niewolnika, wie dobrze, że stać się musi to, czego ona wymaga.

— Ha! niechże będzie jak chcesz, chociaż zastrzegam z góry, że nie wiem, czy wymogę to na nim. Odludek, starzec, człowiek właściwie mówiąc, bez form towarzyskich...

— Dajże ty pokój z twojemi formami! Kto tu żąda od niego form? Co mnie po jego formach?

— A jak on nie zechce tu przyjść?

— To ja pójdę do niego, a nawet przyznaję się, że z góry byłam na to przygotowana.

— Do niego? Żartujesz chyba. Poddasze—czwarte piętro — rynek Starego Miasta. Nie mówisz przecie seryo, kuzynko?

— No, skończmy, mój ty człowieku seryo. Idź do niego, i w imię tych usług, które mu oddałeś, albo tych, które on tobie oddał niegdyś, a przypuszczam, że bezpieczniej będzie ci powołać się na te ostatnie, jako na realniejsze — w imię całego jednem słowem dobrego stosunku waszego, zakołacz do jego uczynności, i wyjednaj mi spotkanie, zejście się, przyjęcie, czy posłuchanie.

— ...Niechajże będzie jak chcesz, chociaż ja zawsze...

— Ach tak! Ty zawsze... ja wiem, ale widzisz ja chciałabym wyjątkowo, żeby nie było dzisiaj jak zawsze... Wszak rozumiemy się.

— Więc ja mam iść do niego?

— O tem przecież mówię ci ciągle

— I zapowiedzieć mu?

— Zapowiadaj co chcesz i jak chcesz, byle rezultat był dla mnie pomyślny, a odpowiedź dziś wieczorem.

— Rezultat pomyślny, a odpowiedź dzisiaj .. — powtórzył machinalnie p. Hannibal naciągając rękawiczki i zabierając się do wyjścia.

— Zaczekajże, — upominała p. Julia odchodzącego. — Jeszcze jedno pozostaje do ułożenia. To jest człowiek ubogi, a przynajmniej pracujący na chleb. Wynagrodzenie wszelkie, jakie on ci zaproponuje, ja przyjmuję z chęcią.

— Wynagrodzenie? Za co?

— Miły Boże i po cóż ty tam idziesz? Przecie ja mam od niego żądać usługi, objaśnień, których tylko on dostarczyć mi może, bo to jego specyalność, jego fach. Ułóż że to sobie w głowie jak należy, bo w przeciwnym razie nie będziesz wiedział z czem przychodzisz, i on gotów sobie pomyśleć, że nie ty jeden taki jesteś, ale i ta, która cię przysyła. No, idź mój drogi, bo mię okropnie... martwisz dzisiaj.

Mniej zadowolony o wiele, niż był w początkach tej instrukcyi, wychodził p. Hannibal w owej missyi poufnej, i ani do głowy mu przyszło, że się dzisiaj jego nielitościwe bożyszcze po raz pierwszy na prawdę nim zajmowało, ani się domyślał, że miał być oczekiwanym prawdziwie gościem w domu d-ra L.

Kiedy wchodził wieczorem, aby zdać sprawę z tego, co mu nakazano załatwić, zastał piękną kuzynkę swoją otoczoną dokoła towarzystwem, a w onem towarzystwie znajdował się i ten, którego wśród całego rodzaju mężkiego p. Hannibal nienawidził najszczerzej i najwytrwalej, w przekonaniu rozumie się, że gdyby nie jego przypadkowe zjawienie się w tym domu, on byłby do wielu poufniejszych używany usług, niż ta, którą w tym dniu pamiętnym został zaszczycony. O stomil jednakże był on od przypuszczenia, że to o czem rozmawiał przed godziną jaką może ze starym Hermanem, tego właśnie znienawidzonego dotyczyło i że losy tego tryumfatora, dzięki jego wdaniu się w tę sprawę, bardzo poważnie mogły być zagrożone. Gdyby to był przeczuwał, nie tyle jeszcze byłby w usługach okazał gorliwości, i niejedną z pewnością dodatkową niedorzecznością przyczynił się do udręczeń pięknej swojej kuzynki.

Przed samą dopiero herbatą zawezwano go do buduaru, i tu wytrzymał treściwą indagacyę, którą dla wiadomości czytelnika uważamy sobie za obowiązek dosłownie powtórzyć.

— Byłeś?

— ...Byłem...

— Cóż tak cedzisz? Wiesz, że nie mam czasu.

— No, nic... on się niby zgadza, ale... stawia pewne warunki.

— Warunki... — i przy tych słowach uderzyła niecierpliwie nogą, ku wielkiemu zdziwieniu p. Hannibala, który pobudek rozdrażnienia objaśnić sobie nie umiał, a tem mniej ocenić ogromu przymusu moralnego, jaki sobie zadawała kobieta, utrzymująca już od pewnego czasu prowizoryum stosunku blizkiego z człowiekiem, podczas gdy ten stosunek lada chwila rozerwaniem zagrażał.

— Mówże jakie warunki? — mów prędko!

— On widzisz, chce mieć gwarancyę, że objaśnienia, jakie ci da, nie będą mieć następstw.

— Jakich następstw? — prawnych?

— Wogóle następstw. On powiada, że dosyć już nadręczyła go myśl o składanych zeznaniach, które wysyłały ludzi na galery, że nigdy nie działał dla zysku i wbrew przekoniom, ale że ta przeszłość jego, w której zostawał na usługach sprawiedliwości ludzkiej, jest czarną kartą jego życia. Ma dosyć tego; radby umrzeć spokojnie. To są jego słowa i te powtarzam ci co do litery.

— Więcej nic?

— No nic, bo też ja nie wiem istotnie nic... nie wiem nawet...

— Dajże pokój. Nie wiesz, bo tak trzeba; teraz staraj się jeszcze zapomnieć o tem, gdzie i po co chodziłeś, a będzie między nami zgoda dobra i długa. Ale... zostawże mi adres i godzinę tu na biurku mojem, i bądź zdrów, bo mi śpieszno.

Ode drzwi odwróciła się i rzuciła swojemu posłańcowi krótkie:

— Dziękuję ci.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA.

Czytelnictwo ludowe.

Lwowski korespondent „Słowa" pisze między innemi, że literaturze popularnej przybyło dzieło, które on nazywa pomnikowem. Jest to „Encyklopedya powszechna dla ludu," obejmująca w dwóch tomach cały materyał wiedzy, „jaki jest potrzebny dla dzisiejszego, już w szkołach wykształconego i do życia publicznego tak impetycznie rwącego się, ludu wiejskiego. Szereg pisarzy z nazwiskami u nas głośnemi, złożył się na to nieocenione dzieło. Wydanie staranne sprzedaje się w handlu księgarskim po cenie 1 reński 50 centów za tom. czyli za 3 reńskie dostać może każdy mieszkaniec wiejski encyklopedyę." Tyle Galicyjski korespondent. Co do pism naszych, to powtarzając tę wiadomość odzywają się one z wielkiem uznaniem o samym pomyśle takiego wydawnictwa na użytek klas wiejskich, i wyrażają zarazem przekonanie, że i u nas na pracę podobną nie byłoby zbyt wcześnie, że moglibyśmy wzorować się pod tym względem na wydawnictwach zagranicznych, a między innemi na tej ostatniej galicyjskiej skarbnicy wiedzy sporządzonej ad usum delphini, albo raczej na użytek tego żywiołu, który pod chwilę jest istotnym delfinem opinii, a u niektórych i kandydatem do przyszłego ewentualnego wszechwładztwa. Doradzają te pisma, rozumie się, przystosowanie rozmiarów i ducha wydawnictwa do potrzeb miejscowych, ale myśl sama wydaje się w sprawozdaniach godną zupełnie uznania i zasługującą na wprowadzenie w życie. Nie przesądzając zupełnie kwestyi, wyznajemy szczerze, że bardzo radzibyśmy byli, gdyby ona wywołała jakąś poważną polemikę pozwalającą na głębszą i gruntowniejszą ocenę potrzeby i użyteczności podobnego dzieła na naszym gruncie. Dla pedagogów z zawodu otwiera się pole wypowiedzenia swoich opinii w tym względzie, bo nie jest to w każdym razie jedna ze spraw, dla których odpowiedni trybunał stanowiéby mogły argumenta dyletantów.

Oto właśnie spotykamy się w nr. 2-im „Prawdy" z artykułem, rzucającym na kwestją światło, który w streszczeniu powtarzamy poniżej, jako jeden z takich, które na przytoczenie zasługują. Autor mówiąc o sprawie oświaty wogóle, a bibljotekach gminnych w szczególności, zastanawia się przedewszystkiem nad ilością i jakością naszych wydawnictw popularnych. Zdaniem jego, wiele z pomiędzy nich zupełnie nie odpowiada przeznaczeniu, bo dla czytelnika ze sfery włościańskiej wiadomości o Egipcyanach, o Gutenbergu albo Franklinie, są zupełnie zbyteczne, a to ze względu że człowiek na tym stopniu rozwoju intellektualnego nie może się zajmować historyą narodu, o którym dotąd nigdy nie słyszał, ani interesować postaciami pojedynczemi, których dzieł i zdobyczy ocenić nie jest w stanie.

Jego interesuje to przedewszystkiem, z czem się styka bezpośrednio, a chcąc się o tem przekonać dowodnie, trzeba zbadać wybór książek, jaki te umysły pierwotne robią dla siebie same. Otóż zdaniem autora artykułu w „Prawdzie" pomieszczonego, umysł taki szuka przedewszystkiem rzeczy pouczających, szuka prawdy, bo ciekawość poprzedzić musi koniecznie u człowieka popędy artystyczne. Najudatniejsza nawet belletrystyka, malująca wieśniakowi naszemu jego własną sferę, nie zajmuje go bynajmniej w tym stopniu jak nas, bo on kunsztu, kompozycyi, przeprowadzenia, i doskonałości obserwacyi bynajmniej nie oceni, a na tę właśnie klassę swoją społeczną patrzy codziennie i zna ją doskonale; nie robi mu też żadnej szczególnej przyjemności spotykanie się z nią jeszcze na kartach książki. Za to woli on daleko tak zwane powieści pańskie, niż przeznaczone dla niego, woli zawsze Trylogię Sienkiewiczowską od utworów Konopnickiej.

W dalszym ciągu razi autora to właśnie niedostateczne zaspokajanie ciekawości ludu w książkach dlań przeznaczonych. Ten, który się chce oświecać powinien mieć sobie podanem to, co potrzeby jego zaspokaja. Ztąd konieczność wydawnictw pouczających, a o ile się domyślać wolno, w konsekwencyi, i tego zapewne, o którem korespondent galicyjski „Słowu" donosi.

Kończy się artykuł „Prawdy," który streściliśmy, bardzo pobieżnie, zwrotem do intelligencyi wiejskiej, którą niektórzy uważają jako naturalnego pośrednika w sprawie oświaty ludu, a która takim pośrednikiem nie będzie, bo być nie może. Nie przypuszcza „Prawda," aby lud zachęconym mógł być do czytania przez tych, którzy zachęty potrzebują sami. Dwór szlachecki przeciętny ma dotąd kalendarz, pismo jakieś peryodyczne i parę jeszcze może powieści, ale tyle też znajdzie się i w wielu chatach chłopskich. Tak twierdzi „Prawda."

Nie wydaje nam się, aby obraz ten był wiernym, a różnice między stanem intellektualnym przedstawiciela własności większej i mniejszej, tak nieznaczące, jak się autorowi wydaje. Potrzebaby dla przekonania się o tem, zdjąć koniecznie okulary osobistych niechęci, które każdemu używającemu ich do oceny wielu faktów i ludzi przeszkadzały zawsze, przeszkadzają dotąd, a daj Boże, aby nadal przynajmniej nie tyle przeszkadzały, zwłaszcza że czas wielki na to.

Informacya.

Z powodu niedokładnej wiadomości pomieszczonej w numerze 335 „Warsz. Dziew." a dotyczącej nieprzyjmowania przez kasy rządowe „miejscowej," t. j. polskiej monety, otrzymała rzeczona gazeta objaśnienie tej treści: „Kasy rządowe nie przyjmują tylko bilonu, t. j. 10 i 5 ciogroszówek polskich, wszelkie zaś inne monety polskie bite w r. 1815, przyjmowane są w kasach rządowych do dziś dnia, ale ich ztąd ponownie w obieg nie puszczają. Ostatnio otrzymały kasy polecenie, aby nie przyjmowały monety ze stemplem Stanisława Augusta i Księcia Warszawskiego.

Porządek dzienny rocznego ogólnego zgromadzenia członków Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności obejmuje: 1) odczytanie protokułu ostatniego zgromadzenia, 2) Rozpatrzenie i zatwierdzenie budżetu na rok 1897, 3) Wnioski zarządu o zatwierdzenie na dalsze lat trzy składki członkowskiej, 4) Reorganizacyę kas groszowych, 5) Wybór prezesa, wiceprezesa, sekretarza, oraz 12 członków zarządu. O dacie tego zgromadzenia zawiadomić nieomieszkamy czytelników.

Dzienniki zawiadamiają, że pani Listopad otworzyła w Nicei pensyonat polski.

Nieestetyczny kaprys.

Donoszą z Paryża do gazet naszych, że ostatnim wyrazem mody jest tam obecnie noszenie przy talietach balowych żywego małego żółwia, z gatunku żółwi indyjskich. Zwierzątko ma być przyczepione do stanika na złotym łańcuszku, a jego skorupa wysadzona drogimi kamieniami. Już teraz wystawy sklepowe celniejszych paryzkich jubilerów przedstawiają się podobno jak akwarya, w których nieruchome te i brzydkie bardzo stworzenia roją się, wabiąc niewolnice ślepego naśladownictwa swoimi grzbietami, zdobnymi w szmaragdy, turkusy, albo brylanty. Żółwiom tym ustępuje miejsca w królestwie mody dotychczasowy kameleon, dotąd także przykuwany do staniczka złotemi ogniwy, ów kameleon tak sympatycznie upamiętniony w powieści „Sapho." A jednak zamiast obrzydzić sobie tego kameleona, dla otoczenia w którem go tam osadził autor, świat kobiecy umiłował na czas jakiś ten rodzaj obrzydliwości ze szczególnym uporem. Przeciwko żółwiom, wysadzonym drogimi kamieniami protestowały podobno towarzystwa opieki nad zwierzętami, które wyszły z zasady, że to osadzanie w skorupie jubilerszczyzny wszelakiej, zwierzęciu przyjemnego uczucia sprawiać nie może, ale zakrzyczano tych nudziarzy, a nawet pono przekonano ich, że żółwie czują się zadowolone i dumne, bo się do podniesienia piękności niewieściej przyczyniają. Nie słychać o innych protestach, choćby tak naprzykład w imię sensu zdrowego i smaku dobrego. Moda mijać może i mija, jak to niestety wiemy aż nadto dobrze z doświadczenia, ale poczucia estetyczne u warstw oświeconych i logika, która nawet w modzie do pewnego stopnia obowiązuje, mają jednakże dosyć ściśle oznaczone granice, których się nie przekracza, a przyzna chyba każdy, że ten kaprysik kobiecy, o którym mówimy, trąci cokolwiek zwyrodnieniem.

Wskazówki i rady.

Obiad wystawny podczas zimy.

1) Zupa żółwiowa. Purée à la reine z drobiu w koszyczku.

2) Majonez z kapłonów.

3) Łosoś z sosem holenderskim. Poncz rzymski w szklaneczkach.

4) Udziec lub cąber sarni, sos truflowy lub purée z kasztanów.

5) Jarzynki konserwowane: groszek zielony z puszek, szparagi z puszek, fasolka zielona z młodem masłem i kalafiory zimowe.

6) Indyczki, kwiczoły i kuropatwy, lub bażanty i perliczki z mieszanymi kompotami z konserw i sałata endywia — cykorya.

7) Bomby z lodów; tutti frutti. Lody ananasowe w formie ananasu.

Deser: sery — owoce, świeże mandarynki, winogrona, jabłka tyrolskie i owoce smażone w cukrze.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Odpowiedzi od Redakcyi.

W-na K. G. K. Jeżeli wizyta ma być w godzinach dziennych (między 2 a 5) to odpowiedni będzie kostyum wełniany gładki lub w kraty (angielski materyał). Kapelusik filcowy okrągły lub berecik; rękawiczki jasne lub białe. Wieczorem kostyum crême jest właściwy; żakiet princesse jeszcze się nie rozpowszechnił. Czy pani pyta o suknię spacerową? To można wybrać piękny materyał przerabiany z czarnym, np. ponsowy, zielony, szafirowy, na którym czarny odznacza się wypukło.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

MAGAZYN BŁAWATNY

J. GRUCZYŃSKIEGO i S-KI

Krakowskie-Przedmieście Nr. 7.

Na sezon karnawałowy poleca:

Wielki wybór Wełn jasnych, Muślinów, Tiuli i Jedwabi, od skromnych do najstrojniejszych Adamaszków. „Gaze Liberty" na suknie plisowane.

583-30-23

SZKOŁA KROJU I SZYCIA

EMILII EHRENKREUTZ,

uczennicy Worth'a, ***MISTRZYNI CECHU.***

Nagrodzonej ***Medalem „de l'Academie Nationale des Maitres Tailleurs de Paris."***

Przy Szkole ***Pracownia Sukien. Krój*** bez żadnych poprawek.

W Warszawie, Chmielna 24, parter, front. Zgoda 3.

647—25—19

Nagrodzona medalem srebrnym, za dobroć wyrobów swoich na wystawie Hygienicznej.

Parowa Fabryka Makaronów.

KAROLA BARSZCZEWICZA i S-ki.

w Warszawie, Długa 30.

Poleca oprócz zwykłych gatunków makaronów, specyalnie

„MAKARON BANACKI" wyrabiany jedynie w tej fabryce,

bez konkurencyi pod względem dobroci i smaku.

Zwracamy uwagę na etykietę „MAKARON BANACKI". 531—25—25

SZKOŁA KROJU i SZYCIA

MARYI MACIEJOWSKIEJ

System francuzki, nauka dokładna i sumienna. Na żądanie ***Patenty cechowe.*** Osoby przybyłe z prowincyi mogą znaleźć wygodne pomieszczenie.

NOWY-SWIAT 56, m. 5. 614—25-21

Płótna Jarosławskie, Bieliznę stołową, Firanki, Kołdry pikowe oraz Wyroby bawełniane Moskiewskiej fabryki **„Sawy Morozowa & Co."** poleca Magazyn 781—10-3

N. I. WEDERNIKOWA

Nowy-Świat № 72, w gmachu I-go męskiego gimnazyum.

M-me Parascovie.

Po długoletniej praktyce w kraju i zagranicą

OTWORZYŁAM 675-25-13

PRACOWNIĘ SUKIEN i OKRYĆ DAMSKICH

przy ulicy BIELAŃSKIEJ № 23, w Warszawie.

Bielańska 23. Bielańska 23.

M-me Parascovie.

Warszawa, Mazowiecka № 16.



NAJWIĘKSZE W KRAJU SKŁADY

Fortepianów, Pianin i Organów

HERMAN & GROSSMAN

Filie: St.-PETERSBURG ul. Morska № 33, MOSKWA Kuźniecki Most, LUBLIN Królewska № 207.

Sprzedaż na raty po rs. 25 miesięcznie. WYNAJEM.

Illustrowane katalogi gratis. 763—6-3

Na Gwiazdkę!

Księgarnia nakładowa

EMILA SKIWSKIEGO

Warszawa, Chmielna 26.

Poleca następujące dzieła dla młodzieży;

Esteja:

KRÓLEWICZ KĘDZIOREK I KRÓLEWNA PEREŁKA

Bajka, wydanie luksusowe ozdobione licznemi akwarelami i rysun. A. Borkowskiego w ozdobnej oprawie. Cena rs. 2.

Wiktor Gomulicki:

NIEDZIELE ROMCIA

z illustracyami. W kartonie. Cena 1 rs. kop. 50.

Stefan Gębarski:

Robinson Tatrzański

z illustracyami. Cena w kartonie 1 rs. kop. 50 w oprawie rs. 2.

Marcus i Aurelian

Opowiadanie z pierwszych wieków chrześcijaństwa. Cena kop. 25.

ZDOBYCIE KONSTANTYNOPOLA

Opowiadanie historyczne. Cena kop. 25.

E. Jerlicz:

KREWNI

Powieść odznaczona na konkursie „Przyjaciela Dzieci." Cena kopiejek 80.

Br. Grabowski:

KOLEGA JULKA

Powieść zalecona do druku na konkursie „Przyjaciela Dzieci." Cena kop. 70.

M. Bzowska:

WIRGINIA

Powieść z pierwszych czasów chrześcijaństwa. Zalecona do druku na konkursie „Przyjaciela Dzieci." Cena kop. 25.

J. Norman Lockyer;

Pierwsze początki Astronomii

Przełożył Władysław Skłodowski. Z licznemi illustracyami w kart. Cena kop. 60.

Zuzanna Morawska:

Z dziejów słowiańszczyzny kresowej

Opowiadanie historyczne. Cena kop. 25.

Teresa-Jadwiga:

DWIE SIOSTRY

Opowiadanie historyczne z czasów państwa rzymskiego. Cena kop. 25.

Talizman Janka

Cena kop. 25.

PRZYJACIEL DZIECI

z lat dawnych.

Rocznik zbrosz. rs. 4, w ozdob. oprawie rs. 5.

Do nabycia u wydawcy i we wszystkich księgarniach. Nadsyłający żądania wprost do nakładcy kosztów przesyłki nie ponoszą.

Szkoła rękodzielnicza dla kobiet

K. Mączyńskiej,

747-6-4

Mazowiecka № 11, m. 8, w Warszawie,

przyjmuje uczennice przychodnie i pensyonarki: na **szycie krawieczyzny i bielizny, krój, system francuski. Haft biały i kolorowy,** złotem i srebrem. **Malowanie i wypalanie** na drzewie, rysunki, introligatorstwo galanteryjne, gipiurę, włóczkowe roboty, pończosznictwo, trykotaże, wyroby ze skóry i krawaciarstwo. Pensyonarki mogą korzystać z fortepianu. Na żądanie wysyła się program.

NAJLEPSZE MYDŁO DO PRANIA

bez przymieszki żywicy i innych surogatów. **Nadaje białość, zapach, dezynfekuje nie niszcząc bielizny** usuwa potrzebę używania chlorku, sody, bieliedeł etc. etc. Wypróbowane w szpitalach i pralniach za granicą i u nas. Wyrabia fabryka

„STĘPKOWSKI & SZYMAŃSKI"

Żądać wszędzie. ***Warszawa, Wolność 16. — Telefonu 1110.*** 707-26-16

Pracownia Rzeźbiarska w drzewie

D. URBAŃSKIEGO

w Warszawie, ulica Bracka № 12.

Przyjmuje roboty kościelne, salonowe, meblowe, modele do odlewów i wszelką galanteryę.

CENY UMIARKOWANE. 780—24-8

Wyborowa woda kolońska „CECYLIA"

do nabycia w głównym składzie **Elektoralna Nr. 43, m. 6,** oraz w znaczniejszych sklepach. 564—25—23

Pralnia Chemiczna

E. SPONAR

Chmielna 10, m. 17. 743-12-2

Дозволено Цензурою. Варшава, 31 Декабря 1897 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**

Juliusz Zeyer.

JAN MARYA PLOJHAR.

PRZEŁOŻYŁ

MIRIAM.

(Ciąg dalszy).

— Posłuchaj—rzekła, mu po chwili.—Przemyślałam wiele od chwili, jak cię pokochałam, przemyślałam wiele, siedząc koło twego łoża i widząc cię prawie umierającym. Twoje oskarżanie się krwawiło mi duszę, ale jednocześnie miłość moja wzrastała raczej. Byłeś nieszczęśliwy, przyjacielu. Nie wiem, jakie tajemnicze prawo do tego nas zmusza, ale dla doskonałych mamy tylko podziw; my, biedne, słabe istoty kobiece, a miłość naszą, tę prawą, porywającą, która się nie pyta, która nie bada, tę oddajemy tylko nieszczęśliwym i błądzącym.

Głowa jej chyliła się pomału ku jego piersiom i spoczęła na jego ramieniu.

Tak tedy ostatecznie wszystko wyjaśniło się między niemi, wszystkie cienie i wątpliwości zniknęły.

Teraz wierzył Jan Marya, że i przed obliczem Boga znalazł przebaczenie i że jest zbawiony.

Od tego dnia życie ich było nieskończenie szczęsne. Teraz, gdy już nic między niemi nie stało, żadna tajemnica, żadna zagadka, gdy jedno drugiemu na dno serca patrzało, teraz opowiadał jej spokojnie żywot swój, wszystkie radości i boleści swe, piękny sen swego dziecięctwa w Hawranicach, swe cierpienia w akademii i podczas służby na statku, swą przyjaźń z Konstantynem, wspólne z przyjacielem marzenia i utopje. Pokazał jej ów list, który od niego z Ameryki południowej był odebrał, a poruszony przytem na nowo uniesieniami i skargami Konstantyna, wspomniał znowu oddalone Czechy i uciekał się do niej o pociechę w chwilach, gdy go boleść i beznadziejność stosunków kraju rodzinnego zbyt przemagały. Teraz było mu już także zupełnie jasnem, czemu z nią zawsze i to zaraz od początku tak poważnie o swej mawiał ojczyźnie. Wiedział, że inaczej zupełnie, by go pojąć nie mogła, gdyby nie wiedziała, co mu w duszy wre, a zresztą czyliż nie powinien był pragnąć, aby i ona nieszczęsną tę ziemię ukochała? Mógłżeby być zupełnie szczęśliwym, jeśliby Caterina nie powiedziała kiedyś, jak Noemi w biblii: „Twój Bóg jest Bogiem mym, a twa ojczyzna — ojczyzną moją!“

O, jakże było mu teraz błogo, gdy widział, jak dobrze go rozumie, gdy w oczach jej czytał, jak niezmierne zajęcie losy jego ludu w niej budzą! Powiedziała mu jednego razu, jaką wielką, niezwykle zabarwioną legendą ten jego kraj, i te wszystkie stare krzywdy, to konanie i to zmartwychwstanie dla niej się stały. Odmalowała mu, jak tragiczne, niekiedy aż przerażające wrażenie, niby wybuchów pożarnych, jego opowiadania na niej robiły, a potem zatrzymała się dłużej z upodobaniem przy tem, co jej się w tem długiem męczeństwie gwiezdnym wydawało świtem. Potem zwierzyła mu się z uśmiechem, jak marząco utożsamiała go z jego ojczyzną, jak jego charakter i losy z mglistemi pojęciami, które sobie o Czechach wytworzyła, w jedno spływały.

Jan Marya zamyślił się.

— Pod pewnym względem masz słuszność— rzekł po chwili posępnie. — Jestem prawym synem swej ziemi, swego narodu. Jako on, mam aspiracye, ale brak mi siły, aby je urzeczywistnić. Jako on, padłem krwią zbroczony w mizernej walce, uległem nieprzyjacielowi, który na wzgardę jedynie zasługuje. Upadek bez wielkości! Nie skonać, od rany, z bronią w ręku, lecz dogasać powoli z braku sił, jakże smutny to los! Być porażonym przez Rzym, jak Kartagina, to było tragiczne, ale przez Wiedeń...

Drgnął z niechęci, zapomniał o Rzymie, o Kartaginie, o Wiedniu, o Pradze, i widział tylko siebie na Hradczanach w fatalny dzień sporu z nadporucznikiem Müllerem, widział się w tem krwawem starciu, o którem Caterinie niedawno był opowiadał, i wybuchnął dzikim krzykiem nagle porywającej go rozpaczy.

— To nie był bój w tym starym ogrodzie klasztornym — zawołał — Caterino, to była bójka! I przeklinam tę godzinę, bo ona to złamała mą siłę, ona odjęła mi młodość, ona ograbiła mię z najwyższego szczęścia — ona to, podcinając już wówczas korzeń mego żywota, wyrwała mi ciebie, Caterino, której jeszcze nawet nie znałem! Ja nigdy już nie przyjdę do zdrowia, umrę, a ty, ty nigdy nie będziesz moją! A była to prosta bójka, zbyteczna, nieszlachetna bójka!

Całe jego ciało trzęsło się konwulsyjnie, a w niej serce zamierało z trwogi, bo w tej chwili widziała wyraźnie cień śmierci na jego czole; dreszcz zimny ją przenikał, boleść ją przemagała. Słowa jego wydały jej się proroctwem. Gwałtem wszakże otrząsła się z tego strasznego wrażenia. Wzięła go za obie ręce.

— Nie była to bójka—rzekła mu, zbierając wszystkie siły. — Po co się poniżasz? Co sobie wyrzucasz? Zapłonął w tobie gniew sprawiedliwy, nie zniosłeś obelgi rzuconej w twarz temu, co ci jest świętem. Czyliż nie zabił Mojżesz owego nędznego Egipcyanina, który się odważył lud jego przed jego nękać okiem?

A gdy milczał, pochyliła się nad nim, i jasne jej włosy padały mu na twarz, czarodziejskie jej oczy świeciły mu w źrenice, a usta jej szeptały: „Jak możesz mówić, że nigdy nie będę twoją? Jesteś moim, moim na wieki. I usta ich spotkały się po raz pierwszy, i nie myśleli już ani o życiu, ani o śmierci, wiedzieli tylko, że są nieśmiertelni i że niebo próżnym nie jest wymysłem.

W kilka dni potem, opowiadał jej o swej matce, o hawranickim zamku i przyniósł małą, kupioną kiedyś na Wschodzie szkatułeczkę z kości słoniowej, srebra i wonnego drzewa, w której najdroższe swe chował pamiątki, a między niemi miniaturę pani Plojharowej i dość niedołężną fotografię hawranickiego zamku. Caterina była tem niezmiernie uradowana, miała setki niewymownie miłych uwag, które go wzruszały i tyle pytań, które całą tkliwość i delikatność jej charakteru na jaw wydobywały, że Jan Marya jeszcze szczęśniejszym się czuł, niż przedtem, i że byłby ją teraz chętnie jeszcze wyżej postawił — gdyby to w ogóle było możebne.

Caterina prosiła go z ciekawością dziecięcą, która tak czarowny z poważnym jej spokojem tworzyła kontrast, aby i pozostałe, w szkatułce ułożone przedmioty jej pokazał. Jan Marya wysypał wszystko z kasetki na stolik, który w ten sposób znikł cały pod pożółkłymi papierami, uschłymi kwiatami i przeróżnemi drobnostkami. Nie było tam ani jednej pamiątki po pani Dragopulos, bo Jan Marya nie byłby nigdy tego relikwiarza świętych wspomnień jej śladem sprofanował, mógł tedy teraz bez rumieńca, bez pomięszania na wszystkie pytania Cateriny odpowiadać. Brał na traf przedmioty do ręki i objaśniał. Ten kawałek marmuru był z Partenonu, owa zwiędła róża z domniemanego grobu Wirgiliusza, ta mała zabawka z wypalonego mułu nilowego pochodziła z Kairu. Ta gałązka jabłoni z uschłymi kwiatami była z ogrodu hawranickiego, ta wiązka listów była od matki, to były jej włosy, to klucz od jej trumny.

— A ta oto kartka—rzekł po chwili wzruszonego milczenia — to pamiątka mych marzeń! Zawiera przysięgę wiecznej przyjaźni z Konstantynem. Podpis jest jego krwią. Ja oddałem mu takiż sam dokument krwią znowu moją podpisany.

Zamyślił się, wspomniał o tych dawno minionych dniach, o przyjacielu, o jego losach, i mimowoli ozwało mu się w duszy pytanie, czy też Konstantyn jest jeszcze między żywymi?

— A co to jest? — zbudziła go Caterina z zadumy, wskazując na dziwaczną małą puszkę, w kształcie płaskiego flakonu z szyjką, której otwór hermetycznie był zaszrubowany. Naczyńko wydawało się ze srebra, na jednej jego stronie widniała trupia głowa, na drugiej trzy krzyże, grubą, czarną wykonane emalią.

— Jest to także pamiątka naszych marzeń z Konstantynem—odpowiedział. — Powiedzieliśmy sobie pewnego razu, że mogą nastać chwile, gdzie trzeba będzie wybierać między śmiercią haniebną a samobójstwem. Proces pewien roznamiętniał wówczas świat cały. Śmierć przez truciznę wydawała nam się tragiczną. Widzisz, w jak teatralnem naczyńku to nasze ostatnie wybawienie się ukrywało. Ale trucizna, którą Konstantyn, nie wiem zkąd wydostał, nie była bynajmniej żartem, i jest dotąd w tym flakonie.

Chciał wziąć jej flakon z ręki. Caterina uśmiechała się.

— Jakiemiż dziećmi byliście, ty i twój Konstantyn — rzekła — ale zajmującemi dziećmi, dziećmi—poetami.—Uśmiechała się, ale nie puściła flakonu.

— Nie—rzekła—schowam to naczyńko, albo zwrócę ci je, gdy truciznę z niego usunę.

— Caterino—rzekł z uśmiechem—a ty mi nie dowierzasz! Sądzisz, że byłbym zdolny... Nie, ty tego myśleć nie możesz! Ty wiesz

jakie teraz życie mi drogie! Ach, żyć, żyć, żyć!

I kląkł u jej nóg, i objął ją w pół, a ona pochyliła się ku niemu, położyła mu twarz na głowie, i milczeli.

Gdy Suntarella weszła do pokoju, układał Jan Marya z powrotem pamiątki swoje w kasetce; o flakonie, który Caterina na piersiach była schowała, nie pamiętał już ani on, ani ona.

Przy wszystkich swych wspomnieniach, przy wszystkich swych wyznaniach i opowiadaniach, nie wzmiankował Jan Marya już ani razu pani Dragopulos. Znikła zupełnie z jego pamięci, pierzchła niby złe zjawisko ciemności, które zażegnał zwycięzko anioł światła. Toć wiedziała teraz Caterina wszystko i nie było potrzeby dręczyć ją znowu nieczystością i wstrętnością tego widziadła. Wiedziała, że się do niej był uciekł jak do świątyni bóstwa jasnego, a gdy, wołając o pomoc, kolana jej objął, skłoniło się ku niemu to przeczyste bóstwo miłosierdzia, i pod pocałunkiem tych ust zgasła paląca mu czoło plama, a on oczyszczony swą skruchą i jej litością, mógł w górę ku niej patrzeć, i zapominał o mękach minionych. To go już nie trapiło; ale była jeszcze jedna rzecz, o któredotąd nie był jej wspomniał: o swem ubóstwie! Opowiadał wprawdzie, jak, zmuszony przez okoliczności, rozstać się musiał z majątkiem hawranickim, wiedziała, żew skutek zasad swych porzucił służbę — ale o prawie zupełnej jego ruinie wcale nie wiedziała. Rzecz szczególna, on sam o tem prawie nie wiedział, lub przynajmniej nie myślał o tem. Ostatnie zażądane pieniądze bez żadnych dalszych pertraktacyj przyszły były z Pragi podczas jego choroby, nie czuł tedy najmniejszego niedostatku, a tak był już przywykł nieczuć go, że niedostatku dobrze sobie nawet wyobrazić nie zdołał, a chwila zmiany wydawała mu się tak daleką, że mu mało kiedy na seryo na myśl przyszło, iż kiedyś w istocie nastanie, i że trzeba będzie jakiebądź kroki na przyszłość przedsięwziąść.

Na przyszłość! Toć o niej nawet nie myślał! Był taki szczęśliwy w teraźniejszości, że zdawało mu się, iż wszystko ciągnąć się tak będzie aż do końca. Czyż mogła być na świecie szczęśliwsza od niego istota? Ona go kochała, ubóstwiała! Chłonęła każde słowo z jego ust, każde spojrzenie z jego oczu! Czytywał jej niekiedy swe poezye w spiesznym przekładzie prozą i widywał potem marzący wyraz jej oka, wzruszenie pięknej jej duszy, takie czyste, takie poważne. Było to dla niego czemś więcej nad zadowolenie próżności; wiedział, że duch jej nasycony jest wielkiemi myślami poetów i myślicieli włoskich, francuskich i angielskich, jakąż tedy radością i pociechą był mu jej zapał! Teraz miał nareszcie pewność, że był poetą! To znaczyło mieć cel żywota. Ona nie udawała, a mylić się też nie mogła. Wiedział wprawdzie, że miłość jej temu, co z duszy jego wykwitło, większą wartość przyznaje, niżby snadź od trzeźwego, surowego sędziego oczekiwać mógł; to wiedział dobrze, ale owo pragnienie jej, ów marzący promyk w jej oczach, pojawiający się tam zawsze od czasu do czasu, ilekroć jej coś czytał, co mu było z najtajniejszych głębin wnętrznych wytrysło, wszystkie te oznaki cichego zachwytu były mu jednak aż nadto pewną poręką danej od Boga zdolności.

Tak tedy była mu Caterina wszystkiem: zbawieniem, muzą, pocieszycielką. Jakież inne jeszcze mogło istnieć na świecie szczęście? Był poetą i był kochany.

A jeżeli, mimo całe to szczęście i błogość, przyszła mu jednak niekiedy smętna myśl o możliwej blizkiej śmierci, lub o grożącej ruinie, odganiał taki cień jednem na nią spojrzeniem.

Ale szczęście ludzkie tak jest zmianom podległe, takie niestałe, że najdrobniejsza niekiedy przyczyna niespodzianie w nicość je obraca, a bogi nie przestały dotąd ludziom zazdrościć.

Wiosna, która zaczynała Kampanję w morze kwiatów mieniać, kwiatów ukrytych wprawdzie dotąd w pączkach, ale gotowych rozbrzasnąć w danej chwili pełną chwałą niepoliczonych wonnych gwiazd, ta wiosna wdziała nagle pewnego ranka posępną maskę ciężkich chmurzysk. Wisiały przez dzień mniej więcej na niebie, niby draperye pogrzebowe, potem otworzyły stawidła swych wód i nieskończony deszcz jął lać, z małemi przerwami, po całych dniach i nocach, jak gdyby grożąc ziemi nowym potopem. Przytem wiatr lodowaty gwizdał nieustannie, a ciężkie mgły błądziły od gór po równinie i w nowe zmieniały się deszcze, ilekroć mogło się zdawać, że niebo wszystkie łzy swoje już było wypłakało. Cała Kampanja była jednem trzęsawiskiem, z którego wiał mróz.

Caterina radziła teraz Janowi Maryi, aby się przeniósł do Rzymu; ale on ani chciał o tem słyszeć.

— Tam jeszcze smutniej — rzekł — a jakże mógłbym żyć bez ciebie?

Caterina zamyślała sama na czas jakiś przenieść się do pani Giovanniny, aby w ten sposób być mu w Rzymie tąż samą wierną towarzyszką, co tutaj.

— Nie, nie — powiedział jej. — Nie mów o tem, to niemożebne.

Nie mógł jej objaśnić, dla czego nie chciał. Myśl, jakby inni na stosunek ich patrzeć mogli, uderzyła go tak boleśnie, gdy pierwszy raz do głowy mu przyszła, że spokój jego pierzchł, a gorączkowe natomiast ogarnęło go wzburzenie. Ten niepokój w połączeniu z wilgocią, która przedostawała się do domu i żadnym ogniem w kominie zupełnie usunąć się nie dała, jęły zgubnie oddziaływać na jego dotąd tak wątłe zdrowie. Zaczął blednąć, nie sypiał, gorączka go nękała.

Caterina, strwożona, napisała do Luigi'ego, który teraz już do San Cataldo nie jeździł, nie widząc tego potrzeby, i oczekując zresztą powrotu swego pacyenta do Rzymu. Na wezwanie Cateriny stawił się natychmiast. Potrząsał głową, wychodząc z pokoju chorego i potem nawet, siadając naprzeciwko Cateriny, która go niecierpliwie w pokoju swoim oczekiwała. Spostrzegła poważną jego twarz i serce przestało jej bić z obawy; stłumiła wszakże bohatersko trwogę i boleść. Chciała wiedzieć całą prawdę.

— Co sądzisz o jego zdrowiu?—rzekła, zakrywając chustką drżenie swych ust.

— Caterino — odpowiedział, patrząc jej w oczy — nie łudziłem cię od początku. Powiedz, ty go ko... Umilkł.

Odgadła i dokończyła: — Tak, kocham! kocham go namiętnie. Całą duszą. Mów teraz dalej!

Luigi chciał to uczynić, ale siła go zawiodła. Żal i współczucie zmogły go. Powstał.

Caterina, blada, alo silna w tej chwili, powstała również.

Położyła mu rękę na ramieniu.

— Tracisz znowu nadzieję? — szepnęła i przymknęła oczy. Luigi patrzał w bok.

— Myślę, myślę...—Umilkł znowu.

— O, ty mnie dręczysz! — wykrzyknęła boleśnie.

— Przebacz! Masz słuszność, najlepiej powiedzieć wszystko. Nie mogę rzec: umrze wkrótce z pewnością; ale muszę powiedzieć: myślę, że długo nie pożyje. Tak! on zamiera zwolna. Korzeń jego życia jest jak podcięty. Teraz niema już co do tego wątpliwości. Ukazują się symptomata... Caterino, bądź silna. Jesteś istotnie nabożna, wiem to. Poddaj się woli wyższej... Ach, nie mam wiary i nie umiem pocieszać!

I gniewnie otarł łzę, której nierozsądnie się wstydził.

Caterina zachwiała się. Milczała długo, potem spytała go głosem zdumiewająco pewnym:

— Cóż teraz można jeszcze uczynić? kiedy myślisz... — Chcę powiedzieć, jak długo... — pewny dotąd głos zawiódł ją.

— Obawiam się, że pójdzie to dość prędko.

Potem zaczął wykładać jej naukowo, co w chorym uszkodzone, dla czego tak mało zostaje nadziei. A ona wierzyła, że będzie uratowany, ona marzyła o szczęściu, o błogiej przyszłości.

— Czy myślisz — spytała po chwili — że byłoby lepiej, gdyby Jan Marya przeniósł się do Rzymu!

— Dla ciebie byłoby to lepiej, nie patrzyłabyś na jego cierpienie. Dla niego — to obojętne.

Caterina uśmiechnęła się. Czyż tu chodziło o to, co by dla niej lepszem było? I czyż Luigi myślał, że ona zostałaby tutaj, w tym pustym domu, gdyby on odjechał?

— Niedawno — zaczęła znowu po chwili — niedawno mówiłeś mi jednak, że lepiejby było, gdyby był w mieście, niż tutaj.

— Wówczas miałem więcej nadziei. Stan jego pogorszył się, Caterino, pogorszył się znacznie. Powód jest mi nieznany. Któż zbadał tajniki natury? Kto tak szczegółowo poznał cały organizm człowieka, aby mógł sądzić ze ścisłością matematyczną? Tyle jeszcze mamy przed sobą niezbadanego...

Caterina nie słuchała dalej. — Co czynić?— zapytała raz jeszcze.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Przedmioty Gospodarstwa Domowego *Jerozolimska 72* **MAGAZYN „METROPOL"** Sprzedaż za gotówkę i **NA RATY** od **30** kop. tygodniowo *Jerozolimska 72* 766—50-6

MARYA GROCHOWSKA,

Fabryka Gorsetów,

Krakowskie-Przedmieście N-r 35,

Poleca nowe fasony gorsetów

Paryskich i Wiedeńskich.

Sprzedaż hurtowa i detaliczna. 777—3-3

Fabryka Gorsetów

I. SCHEFFEL

Niecała Nr. 8. 598—25—22

FIRMA EGZYSTUJE OD 1873.
Magazyn Mebli
ZAŁĘSKIEGO i S-ki
w Warszawie,
137. Marszałkowska 137.
Poleca wielki wybór mebli. Warsztaty własne. 566—25-23

Przedpłata zniżona od Now. Roku.
na miesięcznik
„PSZCZELARZ I OGRODNIK"
w Warszawie i z przesyłką pocztową **rs. 3 rocznie; dla wszystkich członków** Tow. Pszczel.-Ogrodniczego **rs. 2** rocznie. Kancelarya Tow. Pszcz.-Ogr. **(Wiejska 12)** na żądanie wysyła bezpłatnie numera okazowe.

SKŁAD
Produktów Spożywczych Wiejskich
w Warszawie, S-to-Krzyzka 17.
Własnej dostawy z różnych miejscowości Państwa.

Przyjmuje produkta w komis od Szanownych Obywateli i poleca tenże Pp. Kupcom hurtowym na stałą dostawę po cenach kosztu + 2% prowizyi. Wysyła towary wszelkie na prowincyę. 572—25-22

„Pomoc prawna"
DLA NIEZAMOŻNYCH 798—13—1
przy ul. Złotej Nr 14.
P. Adw. przyś. **C. Brzeziński, A. Kronenblech, J. Przanowski** i **H. Zbrowski** udzielają porad prawnych, przyjmują sprawy do wszystkich sądów i redagują prośby do wszystkich władz i instytucyj. Codziennie od g. 9 r. do g. 4 p. p.

Wszelkie wyroby kuchenne i gospodarskie
poleca
M. SZYMAŃSKI
Senatorska 10. 769B—6-6


773—12-3
Magazyn Instrumentów Muzycznych i Strun Włoskich
J. FEIGENBAUMA
w Warszawie, ulica Marszałkowska N. 153, róg Królewskiej.
Specyalna pracownia wszelkich instrumentów muzycznych.

M-me ANNA
poleca: suknie spacerowe Genre tailleur
Marszałkowska 116. 611—25—21

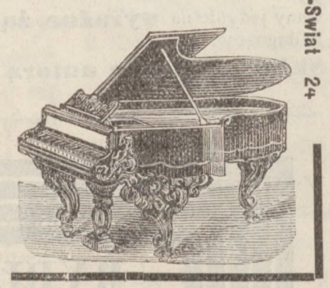
PRACOWNIA GORSETÓW 546—25—23
ANNY LAFERSKIEJ
Warszawa, Chmielna № 18. — Łódź, Konstantynowska № 10.
Nagrodzona listem pochwalnym na Wystawie Hygienicznej w 1896 roku.

749—12-9
KEFIR K. ŻYCKIEGO, APTEKARZA, Chmielna 23.

!Firanki bardzo tanie! E. MIRECKA, **Krucza 23, m. 13.** 4—25-24

765—13—7 **DOSTAWCA DWORU JEGO CESARSKIEJ MOŚCI**

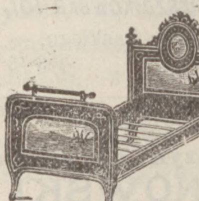
24 Nowy-Swiat 24
K. M. Schröder
24 Nowy-Swiat 24
POLECA:
FORTEPIANY i PIANINA
w wielkim wyborze i po cenach przystępnych
w Składzie fabrycznym
w Warszawie.
ILLUSTROWANE CENNIKI na żądanie gratis i franko.



24. NOWY-SWIAT 24

SKŁAD MEBLI
majstrów stolarskich
Marszałkowska 136, róg Ś-to Krzyzkiej, I-sze piętro.
Wielki wybór mebli z własnych warsztatów. Tapicernią własna
668-24-13 Zarządzający ***Julian Goetze.***

Najlepsze i najtańsze kajety, tornistry, wszelkie przybory szkolne, oraz papier do owijania śniadań szkolnych, poleca SKŁAD PAPIERU
512—50—40
L. Poradzewskiego, Niecała 8.



116. MARSZAŁKOWSKA 116.
SKŁAD FABRYCZNY
Mebli żelaznych, Wózkow i Welocypedów dziecinnych
z oddziałem pościelowym
J. Neufelda, w Warszawie,
MARSZAŁKOWSKA 116.
Poleca swe wyroby i artykuły pościelowe po cenach fabrycznych nizkich. Cenniki na żądanie gratis i franco. 695-26-10
Adres dla listów: **Pańska 33 (fabryka).**



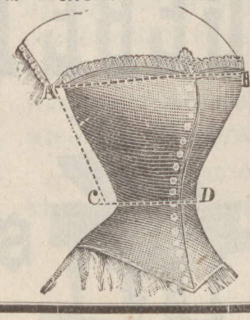


PATENTOWANY SZYNDLERA
Biusthalter.
Znany we wszystkich państwach Europy i Ameryki wynalazek, nadający każdej figurze estetyczne kształty, zdobył uznanie i listy dziękczynne wszystkich, korzystających z niego pań. **Biusthalter, daje w ciągu całego dnia zupełną swobodę ruchów i dla tego też poleca się WSZYSTKIM, bez wyjątku paniom: pracującym w biurach, szkołach, handlach, gospodyniom przy domowych zajęciach, podróżującym, uprawiającym sport, jak rownież paniom, znajdującym się w odmiennym stanie, karmiącym piersią, a nawet cierpiącym.** Biusthalter opatentowany w 13 państwach, odznacza się eleganckiem wykonaniem z najlepszych materyałów używanych na gorsety.

CENY	AA	A	B	C	DD (jedw.)
	3.50 k.	4.50 k.	5.75 k.	6.75 k.	9.50k.

Obstałunki detaliczne wysyłają się pocztą wszędzie za zaliczeniem z dopłatą za przesyłkę za 2 funty. Przy obstalunkach, upraszamy przysyłać miarę w centymetrach, werszkach, albo na tasiemce według rysunku:

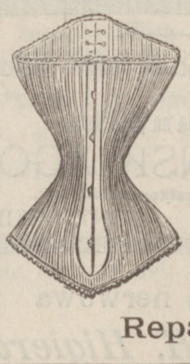
1) **Pełny** obwód, mierząc pod pachą (wraz z plecami), od A do B. 2) **Pełny** obwód stanu od C do D i 3) wysokość boku od A do C. 775—12-2



Wyłączna sprzedaż na Cesarstwo i Królestwo Polskie
w Warszawie Senatorska 26.
Adres dla listów: **Warszawa „SZYNDLERA BIUSTHALTER".**

Pracownia Sukien i Okryć Damskich 709-25-10
Maryi RYGIER
w Warszawie, Aleja Jerozolimska Nr 43, m. 10, druga brama, parter.

Nowa Pracownia Gorsetów
„CAROLINE"
w Warszawie, ul. Chmielna №. 11,



poleca: różnorodne gorsety, od skromnych do najwykwintniejszych, gorsety sznureczkowe, na włosiu, staniczki, półgorseciki, leniuszki, gorsety do konnej jazdy, szeleczki do prostego trzymania i t. p.
Fasony zgrabne, wykonanie staranne. Wysyłka za zaliczeniem pocztowem, a przy listownych zamówieniach należy podać całą objętość w talii, w gorsie i długość boczku od talii do podramienia.

Reparacya i pranie gorsetów. 770—8—3